Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 16. Poznań, dnia 15. Lipca. **1844.**

POEZYJA.

Wiérsz napisany na żółwiéj skorupie.

Szkaradny, obmiérzły jest żółwi ten ród!
Niby rycerz pancerny w tak twardą tarcz zbrojny
Że znać do śmiałych czynów stworzony, do wojny —
A taki trwożny, gnuśny — z krwią chłodną jak lód
I tak zwolna, lękliwie wlecze się po świecie
Że za nim się do celu doczołgnie, to wprzód
Tysiące nóg mu depce bezkarnie po grzbiecie
To wprzód bryła granitu na miazgę go zgniecie.

Lecz stokroć obmierzli ludzie z żółwią krwią
Na drodze ludzkości co kamieńmi tkwią.
Iść radzi by naprzód — ale iść się boją
I wkrzomo, to idą — a na miejscu stoją.
O byle co, duch ich trzwoży się i waha
Jak ptastwo na widok łachmannégo stracha.
Że za nim się do celu przepełzną, to wpiérw
Plugawe robactwo roztoczy z nich ściérw.

Przeklęci!... bogdajby żywcem skamienieli
Wieczystym swéj hańby pomnikiem zostali
I w ciele kamienném, jak długi ten świat
Czuli i cierpieli miliony lat!
Bo wam to o żółwie leniwi, bezczynni!
O dzieci senności i podłéj bojaźni!
Wam bliźnich należą męczarnie i kaźni —
Wszystkiemu co złe jest na ziemi, wy winni!

ROMAN.

SZLACHCIANKA I WIEŚNIACZKA.

POWIEŚĆ.

Niewierz niczemu — kłamstwem jest wszystko na świecie,
Niewierz niczemu, niewierz najbardziéj kobiécie. —
Kraszewski.

Na wojnę go wzięli,
W mundur go ubrali,
Paskami opięli
Za światy pognali.
S. Ch.

1.

Słońce już upadało w objęcia ziemi. Im bardziéj czas jego zajścia się zbliżał, natura pełniéj oddychała. Trawki i kwiatki zmęczone, przytłoczone gorącem, podnosiły się nieznacznie — główki prostowały — budziły się. Ale to na krótko tylko, bo znowu zasną lecz snem miłym — spokojnym — co nie będzie snem męki jakim ich słońce uspiło. — Wietrzyk który przez dzień cały gdzieś w krzakach się ukrywał wyleciał — i czynny biega, odświeża powietrze — wygania duszące gorąco — biega od drzewa do drzewa, od kwiatka do kwiatka coś im tam śpiewa — szepcze — ale znać kwiatki nie przystają na jego żądanie; bo do którego się tylko zbliży, to każdy wstrząsa główką niby na znak nieprzyzwolenia, a on pustak, jednak kradnie każdemu całusa, kradnie woń którą roznosi chyżo, rączo, po wszystkich zakątkach. —

I ludzi też więcéj zaczęło się przechodzić przed dworcem pana Sędziego, w krótce nawet i w ogrodzie ukazało się towarzystwo złożone z sędziwych matron i panów; młodzież zaś z panienkami została jeszcze w salonie, bo te bały się wystawić delikatnych twarzyczek na promienie choć już zachodzącego słońca. — Kilkanaście dziewic stoi w bliskości okna — młode mężatki przyłączyły się do ich kompanii; mężczyzni wieńcem otoczyli grono płci pięknéj i zawiązała się rozmowa, raz ogólna to znowu między kilkoma lub tylko dwoma osobami. — W téj chwili tylko jeden głos dźwięczy, nadobnéj pani Julii; przyjechała ona nie

dawno z Marjembadu; opisuje więc z zwykłym sobie dowcipem towarzystwo zródlanne, przechadzki, okolice, nie jednemu tam łatkę przypnie, z niejednéj się pusto rozśmieje wszyscy jéj słuchają bo Marjembad dużo był tego roku odwiedzany — a bez rozmaitych wydarzeń, intryg obejść się nie mogło. Opowiadanie było zajmujące tym bardziéj ze Julia dowcipna, zręczna, umiała to wszystko tak ubarwić, że każdego jéj opowiadanie zajmować musiało.

Wszyscy słuchają, tylko jeden Bronisław zdaje się nie uważa na opowiadanie pięknéj Julii, zda się nawet że zupełnie go nie słyszy: oparty o krawędź okna, zatopił spojrzenie w zachodzącém słońcu i duma — o czém... nie wiadomo. — Młoda Amelia, piękna jak anioł poranku — piękniejsza od wszystkich dam tu zgromadzonych — a to wiele, bo wszystkie ładniutkie — świeże — u wszystkich oczęta jak gwiazdeczki błyszczące — przybliża się do okna i półgłosem pyta młodzieńca: »Widzę że pana nie zajmuje opowiadanie o tegorocznych zabawach w Marjembad: pan zda się tego nie słuchać — zawsze zamyślony ubrałeś czoło w chmurkę smutku — i gdzieś bujasz myślami daleko — daleko — ale się temu nie dziwię. — Marzenie i dla mnie ma dużo uroku — a gdy mnie wirowe myśli pochwycą i zaniosą gdzie w przeszłość — zaniosą na grobowce ojców, to mi błogo — miło — a potém kto wie — pan może masz jakiego aniołka do którego tak myśli wysyłasz. — Czyż nie prawda?« Młodzieniec wyrwany z zamyślenia dźwięcznym głosem dziewicy, spojrzał na nią i rumieniec oblał mu lica; chciał mówić, ale Amelja przerwała. —

»O darmo chcesz się pan wymawiać, ten rumieniec potwierdza moje mniemanie — niech się pan przyzna, ja dochowam tajemnicy,« i uśmiechnęła się figlarnie, ale zarazem tak cudnie, niewinnie, że biedny Bronisław jeszcze bardziéj był zmięszany. W krótce jednak wracając do właściwego stanu duszy, odpowiedział: Domyślam się,« o jakim aniele pani chcesz mówić, ale mogę ją zapewnić, że serce moje jest wolne, smutek którego ukryć nie mogę, z innego źródła pochodzi; bo czyż może być wesoły teraz Polak, lub jakikolwiek człowiek posiadający serce, patrzący oczami duszy na cierpienia braci, cierpienia ludu. Wszystko na co tylko spojrzę, przypomina mi niedolę i rozdziéra duszę; ale daruj pani, zapomniałem że człowiek mówiący o smutku, o boleści często nudnym a nawet śmiesznym się wydaje, zapomniałem i chciałem Cię znudzić.«

»Panie Bronisławie, pan mi krzywdę wyrządzasz, myśląc że mnie znudzić może smutek polaka, człowieka, wszak i ja Polka, i czuję całém zbolałem sercem naszą niedolę, jestem kobietą i lituję się niedoli ludu, a ja go tak kocham jak moich braci, i gdybym mogła, wszystko, wszystko bym oddała, aby tylko jego nieszczęśliwy los polepszyć. — Słyszałam że teraz przy powszechnym postępie, znaleźli się tacy ludzie, którzy chcą to uczynić; słyszałam o jakichsiś zasadach ludowych, a choć zwykle w złém świetle były mi przedstawione, ja je jednak ukochałam i chciałabym je bliżéj poznać; zaznajom mnie pan z niémi, wytłómacz stosunek właściciela i włościana, ja się nie znudzę, ja będę słuchała uważnie.

Z uwielbieniem patrzał Bronisław na tę polską dziewicę, błogo mu było bo myślał, póki kobiety takie uczucia w sercu nosić będą, to o świętéj sprawie wątpić nie można, bo je synowie z mlékiem ssać będą i znowu swoim dzieciom zostawią, o gdyby wszystkie jéj podobne były!

»Przebacz pani, mówił, że ani czas, ani pora nie pozwala nad tém się zastanowić, i wystawić w prawdziwém świetle panów i włościan, gdyż już towarzystwo z ogrodu dotąd się zbliża.

(Dokończenie nastąpi.)

KRYTYKA.

ROK 1843.

pod względem

oświaty, przemysłu i wypadków czasowych.

(Ciąg dalszy.)

Następuje przesławny artykuł pod tytułem: »*Stósunek wiary umysłowéj do wiary objawionéj przez Felixa Kozłowskiego* alias *Pawła Lechlińskiego*, któregoto zacny Trentowski wychłostał słusznie i dzielnie w rozprawie na początku Roku 1843 drukowanéj. — Piśmidło to prosta satyra na godło przybrane przez Rok 1843«.

Czwarty zeszyt rozpoczyna »*kilka myśli o eklektyzmie*« przez Pana D. — Zbiór ten, jak autór sam przyznaje na str. 29: »*kilka ogólnych, niedostatecznych i dorywczo zebranych rzutów,*« śród których kilka słusznych, bardzo wiele jednak mylnych, nieuzasadnionych, nie-

wyjaśnionych dostatecznie, ma na celu, wykazać niedorzeczność eklektyzmu i szkodliwy wpływ jego na postęp. Zdanie to za pomocą dyalektyki, nie zaś z dokładnéj znajomości dziejów wysnute, przesadzoném mi się wydaje i mylném. — Zapatruje się autór na eklektyzm ze stanowiska twórczości; więc niedziw, iż uważa ten rodzaj czynności umysłowéj za coś niedorzecznego, niedołężnego, szkodliwego, i Bóg wie, za coś tam jeszcze. — Gdyby zaś autór czynności umysłu ludzkiego, jak się pojawiły dotąd i pojawiają, starał się był nietylko poznawać, ale i rozpoznawać, oraz gdyby potrafił ocenić je należycie, a nie bujał w saméj abstrakcyji: wtedyby może doszedł właściwego znaczenia eklektyzmu, iż to tylko jest usiłowaniem połączenia w całość systematyczną różnorodnych myśli, aby zaprowadzić je w życie. Usiłowanie takie prawda zawsze staje się nadaremnem — bo całość z niezgodnych ze sobą żywiołów złożona, rozpada się —, jednak ten dobry ma skutek, iż z jednéj strony wskazuje to, co zużyte, zamarłe, co odżyć nie może; z drugiéj strony pokazuje, o ile jaka nowozrodzona myśl rozwinięta, i czy w obecnéj chwili doczekać się może powszechnego przyjęcia. Eklektyzm jest więc korzystném zjawiskiem, bo przekonywa mniéj ruchliwe umysły o konieczności postępowania naprzód, choć wolnym krokiem, a wstrzymuje naprzód *pędzące* dążności, obierając je z żywiołów niewyrobionych, niedojrzałych i powszechnego zakorzenienia spodziewać się niemogących. Takowym dążnościom eklektyzm jest zawalidrogą, one go niecierpią, one się na niego srożą. Niedziw więc iż autór kilku myśli o eklektyźmie, któryby także, ludzkość daléj a coraz daléj chciał popychać, niezważając na to, że świat zbyt ciężka jest massą, aby się w skok mógł zbliżyć do celu swego, — niemiłosiernie dąsa się na eklektyzm, owego ciérpkiego krytyka postępu, i że, stósując rozmaite postaci, w których objawia się ta czynność umysłowa, do pewnych pojawów naukowych i politycznych, te niesłusznie ocenia. Tak n. p. na str. 10. podaje za przykład eklektyzmu pod postacią bezbarwności w polityce występującego, konstytycyją Trzeciego Maja. Gani jéj, że »*zamiast więc zniesienia przywileju szlachty, potwierdza go, sankcionuje, a jednak niepotrzebną i niedołężną zawadę w życie narodu wtłacza, wymyśla króla konstytucyjnego, stanowi dziedziczność tronu*« itp. Konstytucyja ta, dzieło ślachty polskiéj wieku 18go (od któréj wymagać, żeby sama siebie zniesła, niesłusznem mi się wydaje żądaniem — dowodem jest postępu wielu członków téj klassy obywateli polskich. Nie mogła ona, jak wiadomo, wejść w życie a zatém się rozwijać, bo nieprzyjaciele Polski wraz z wielu przewrotnymi i nikczemnymi z pośród ślachty polskiéj przydusili ją. Nie wymyśliła ona króla konstytucyjnego, bo taki już był od dawna, tylko lepiéj jego władzę określiła, i zniesła szkodliwą obiéralność królów. A przez to, że ta konstytucyja nakazywała w 25 lat poprawę siebie, oświadczyła się za prawdziwym postępem. Dziś by ona zupełnego przerobienia potrzebowała, aby zaprowadzoną być mogła w życie. — Na str. 29. pastwi się autór nad Girondystami, owymi republikanami, którzy padli ofiarą nienasyconéj zawiści kilku rozhukanych członków Wielkiego Konwentu. Podobało się P. D, takie o Girondystych[1]) wydać zdanie, na str. 29: »*Girondyści uważani sami w sobie za mających przekonanie o dobroci, umiarkowaniu, za będących w dobréj wierze, dali już przykład światu, jak pozorna cnotą republikancka, jeśli tylko jest umiarkowaną, staje się narzędziem[2]) zasad wstecznych absolutyzmu, monarchizmu i arystokracyi. Owoż Girondyści, owi umiarkowani, pełni niby cnoty republikanie, — jeśli zechcemy przypuścić, że nie byli fałszywymi —, stali się narzędziami[3]) zguby rewolucyi francuskiéj Ich zasady rozsądkiem tchnące, ich niby dobroci pełne uczucia, uśpiły[4]) dzielną teroryzmu potęgę,*« *i t. d.* — Gdyby Pan D. lepiéj się obeznał z dziejami, a nie zapatrywał się na wszystko ze stanowiska eksentryczno-postępowego, czyli raczéj poskokowego: przekonałby się, iż Girondyści nie byli takimi, jakich sobie wymarzył. — Lecz dosyć o tych kilku myślach o eklektyzmie, choć tam jeszcze bardzo wiele pozostaje do zbijania.

Następuje »*Kilka słów o uniwersytecie francuskim*« przez W. M. Dobry to artykuł obeznaje nas w krótkości z historyą i stanowiskiem obecném uniwersytetu francuskiego, t. j paryskiego, który teraz zwrócić powinien na siebie uwagę każdego przyjaciela światła. Zawrzała walka, między uniwersytetem paryskim a jezuitkami, owymi mordercami ducha ludzkiego — któ-

---

1) Pan D. Girondystów uważa za *za eklektyków z umysłu* (?); znacznie się w tém pomylił, ponieważ nie zgłębił należycie działania Girondystów, którzy mieli wyrobione zdanie i dążenie czysto-republikanckie, ale sprzeciwiali się szalonemu i zgubnemu dokazywaniu Robespierra i zwolenników jego, którzy mordowali bez celu i potrzeby. *P. A.*

2) Zdanie to zastósować należy do pewnéj części konwencyjonistów, którzy przez to sami zginęli, i następnie stali się przyczyną reakcyji *P. A.*

3) Nie oni, lecz partyja Robespierra, która do ostateczności popchnęła rewolucyją. *P. A.*

4) Nie uśpiły i t. d., lecz wstrzymać chciały niepotrzebne rozlanie krwi obywateli przez fanatyczną partyjkę konwencyjonistów nakazywane. *P. A.*

rym rząd francuzki w brew konstytucyj pozwala rozgościć się w kraju; pod hasłem *»wolności nauczania!«* nacierają oni na władzę uniwersytetu, rozciągającą się nad wszystkiémi zakładami naukowémi, w spółce z braćmi arcybiskupami, biskupami i wielu innymi członkami francuskiego duchowieństwa katolickiego, które powinien wziąć porządnie w kluby rząd francuski, i nauczyć je, że obywatelowi francuskiemu nie godzi się być służalcem rzymskiego pana. — Spodziewać się należy, iż uniwersytet francuski placu dotrzyma w zaciętéj walce, i przygnębi wyrodków, którzy nietylko demoralizują naród, ale przywróciéby chcieli owe lube im wieki ciemnoty! —

Następuje: *»Ogólny zarys nauki Towiańskiego«* przez *Jędrzeja Moraczewskiego.* Przeczytawszy wydrukowaną tu (str. 56—71) *Biesiadę,* pismo *Andrzeja Towiańskiego,* powziąć można wyobrażenie o tym szalonym i niebezpiecznym człowieku: — bo zbałamucił on niejednego tęgiego Polaka. — Póki świat światem, takich niedorzeczności, tak wybujałego mistycyzmu podobno nie było. Trudno zatém pojąć, jak autór *»zarysów,«* w których kréśli nam Towiańskiego, może niejako stanąć w obronie Towiańszczyzny i uważać ów stek szaleństw za *»system nietylko religijny ale i umiejętny;« »jakkolwiek,«* dodaje autór, *»okaże on się czemś napowietrznėm, nie do pojęcia, alėć w każdym religijnym systemacie są mysteria.«* Między misteryami jednak a niedorzecznościami, jakich pełno w Biesiadzie, znaczna zachodzi różnica. Zresztą same Towiańszczyki zdają się mieć jakieś przeczucie, wskazujące im nicość ich marzeń i mrzonek, boby nie *»poczytywali za szkodliwe dla siebie, wdawać się w rozprawy, odpowiedzi, objaśnienia.«* — Puszczyki nocne światło razi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Die

Hebung des Gemeinsinns durch den Unterricht,

von

Karl Kleinpaul.

(Ciąg dalszy.)

Życzliwość, jak autór słusznie utrzymuje, jest rzeczą czysto przyrodzoną, któréjby żadna nauka, a nawet sama nauka moralna w sercu zaszczepić nie potrafiła, gdyby się już tchnieniem boskiem tamże nie znajdowała; dla tego téż istotną prawdą, że cnoty nauczyć nie można. Jednakże są środki, które tę niejako w dziecku drzymjącą życzliwość obudzić, w życie wprowadzić i w czynność przewieść zdołają. Nauka moralna atoli, jako nauka mniéj więcéj abstrakcyjna dopiéro wtedy płomień z niebios iż tak rzeknę w piersi każdego człowieka zażęgniony, a raczéj do istoty człowieczéj należący, i z nią tak ściśle, jak żywioły jakiekolwiek ciało przyrodzone tworzące, połączony, skutecznie podsyci i rozpali, gdy już wpiérw innemi żywotniejszemi a przeto namacalniéjszemi żywiołami był żywiony i podniecany; w przeciwnym razie jéj złote ziarna padać będą na rolą nieuprawną, żadnego a przynajmniéj lichy plon obiecującą. Przeto ważną, a śmiało powiedzieć można, najważniejszą nawet jest kwestya, jak umysły młodzieży przed przystąpieniém do właściwéj nauki moralnéj, społeczeństwem, t. j. gminą, i państwém zainteressować, czyli jak iskierkę życzliwości aż do tego stopnia ciepła wzmódz i rozniecić, iżby nauka moralna to ciepło w niewygasły płomień, przez całe życie człowieka i to dla dobra ogółu gorejący nieohyboie spotęgować mogła. — Pominąwszy, że na moralne i społeczne usposobienie dziecka atmosfera rodzinna, którą w pierwszych latach życia swego więcéj biérnego jak czynnego oddycha, niezawodnie bardzo wiele wpływa, zastanowić się tu tylko nad tém nam wolno, — gdyż taki zakres naszego autora, — podług jakiego planu szkoły mianowicie ludowe czyli elementarne działać powinny, aby już w dzieciach chęć służenia ogółowi wcześnie obudzić, i je drogą bezprzesądną ku cnocie i prawdziwéj moralności prowadzić. Do tego służyć mają podług naszego autora ćwiczenia w myśleniu tak urządzone, aby się dziecko z témi wszystkiemi instytucyami społecznémi, które mu się codziennie przed oczy nasuwają, naprzód obeznało; aby poznało znaczenie i obowiązki urzędnika, żołnierza, plebana, wójta, sołtysa, ławnika, radnych i t. p.; a tak aby postępując do pojęć coraz rozleglejszych w jedném i ostatniem pojęciu ludzkości swój koniec znajdujących, przez rozpatrywanie się w urządzeniach gminy, powiatu, państwa do żywéj samowiedzy i to z życia wziętéj a zatém tym więcéj przekonywającéj doszło, że człowiek nie tylko dla siebie, nie tylko dla rodziny, nie tylko dla gminy, nie tylko dla powiatu, ale dla całego narodu, a jeżeli być może, dla całéj ludzkości żyć powinien. Muszę jednak dodać, że chcąc młodzież tym sposobem w życie publiczne wdrażać, i ją do niego wychowywać, trzebaby reformę od nauczycieli samych zacząć; coby się przez temu celowi

odpowiednie kształcenie nauczycieli po seminarjach, i przez stósowne wpływanie na tych, co już obowiązki nauczycielskie pełnią, najlepiéj uskutecznić dało. —

Po położeniu tego fundamentu do życia publicznego w młodzieży, trzeba w niéj miłość bliźniego już rozetloną podsycać, żywić i coraz więcéj wzmagać najsilniéj działającym żywiołem, a tym jest historya ojczysta. Tu dopiéro zaczyna uczeń żyć nowém wielkiem życiem przodków swojich, pierś mu się rozpręża, duch jego lotem orła szybuje po nad morzem przeszłości narodowéj, oko mu jaśnieje nadziemskim blaskiem, kiedy usłyszy o wielkich bohatérach, o wielkich mężach własnego narodu, kiedy pomyśli: *»i ja jestem członkiem jego, i po mnie ma narod prawo domagać się poświęcenia, — to winienem wielkim prochom Ojców, — to winienem sławie narodu, — to winienem potomności, aby nasz czas nie zostawił próżnéj karty w dziejach ojczystych, i aby potomność o nasz nie powiedziała: »Żyli życiem roślinném, żyli i zgnili, i żadnéj nam pamiątki w puściźnie nie przekazali.«* Historja ma to właściwego, że młodzieniec nią się zajmujący tak żywo przeszłość czuje, myśli i pojmuje, iż mu się w chwili zajęcia dawno ubiegłe wieki na powierzchni teraźniejszości upływać zdają; jemu się zdaje, że mężowie sławni jeszcze żyją, że jeszcze działają, i że razem z nimi za ojczyznę i za prawdę walczy; — dusza młodzieńcza zaczerpuje, co sił jéj starczy, tego samego entuzyazmu, jakim ci przejęci być musieli, co wszystko na ołtarzu ojczyzny składali, i tak się tą ślachetną exaltacyą przegrzeje, iż ją na całe życie w swém łonie jak święty ogień Żnicza troskliwie przechowuje. Z drugiéj strony ku zdrajcom ojczyzny i ludziom przeciw postępowym, ktorzy swą bezecnością lub przesądem i głupotą dla swego kraju zgubnymi byli, najwyższem oburzeniem nauczy się młodzież pałać, i tym sposobem polubi ślachetność charakteru, wielkość umysłu, chwalebną moc woli, a brzydzić się będzie duszami podłémi, lub téż głupotą swoją krajowi szkodzącemi. Nie potrzeba się zapewne dłużéj nad tém rozpisywać, gdyż każdy, co się uczył historyi ojczystéj wié to dobrze z doświadczenia własnego, jak błogiemi uczuciami napełniało go imię Bolesława W., Stefana Czarnleckiego, Kościuszki, Konarskiego, Staszica, a jakie oburzenie wywoływało wspomnienie Glińskiego, Zebrzydowskiego, i innych nowszych imion, których wnętrzności szarpie sępia pamięć upadku ojczyzny, a na których spada wielkie.... wielkie.... niewypowiedzialne przekleństwo dwudziestu milionów ludu, i całéj jego potomności. — Nie mogę omieszkać uczynić w tém miejscu uwagi, że zwłaszcza dla naszego ludu w ciemnocie i w niewiadomości swych dziejów pogrążonego, potrzebny jest wykład historyi ojczystéj; chłop nasz bowiem mało co albo wcale swéj narodowości nie zna, a przynajmniéj nie jest nią tak żywotnie przejęty, jakby tego po nim pragnąć wypadało. U niego *»Polak«* znaczy tyle co *katolik*, a niekatolika, choćby był najlepszym patriotą polskim, nie nazwie Polakiem. Jest to smutnym dowodem, jak krzywo i niedorzecznie lud nasz narodowość uważa, lecz jego sąd takowy i jego niewiadomość dziejów ojczystych nie można mu za winę poczytywać; mając bowiem zawsze jednostajne swe dzieje, t. j. ciągłémi cierpieniami nacechowane, i jego potem i krwią jego pisane nie mógł znaleść żadnego interessu w dziejach *tych*, co z niego pot i krew na swoją własną korzyść wyciskali, i dla tego w tém upatrywał swą narodowość, co go razem łączyło i w czem pociechy w ucisku i w utrapieniu szukał, t. j. w religii. Z tego obłędu trzeba lud koniecznie wyprowadzić, a najskuteczniéj zaradziłby temu po prostu i po chłopsku napisany wykład historyi polskiéj, lecz nie w duchu katolickim, ale w duchu polskim przedsięwzięty: gdyż w razie piérwszym znowuby na tém skończono, że Polak a Katolik jest jedno i to samo. Byłoby to nie kijem ale pałką zabić prawdziwą narodowość polsku. Tylu jest u nas piszących, iż słusznie, nie pamiętam już kto, powiedział, że więcéj u nas piszących jak czytających, a przecież nikt jeszcze nie napisał historyi polskiéj dla ludu, a więc dla Polski przydatnéj, gdy przeciwnie już napisano historyą, niby polską, która Rossyi do smaku przypadła.

Po tym ustępie wracam do rzeczy.

Prócz wykładu historyi ojczystéj zaleca Kleinpaul, aby każdy uczeń w szkole elementarnéj obeznał się z najpiękniejszemi i najtreściwszemi wyjątkami z autorów narodowych, w których się duch narodowy jakby w jedném ognisku zestrzelił, i przez których ducha jak gdyby przez jaki kanał podziemny na wierzch całego narodu wypłynął. Trzebaby się więc zająć układem wypisów najcelniejszych pisarzy w tym jedynym a nieobrachowanie użytecznym celu, aby książka ta stanowiła biblię narodową, czyli tak nazwane *»Vademecum«* każdego. — Takiej książki i nam potrzeba. Nie znam wprawdzie planu i zakresu nowego dzieła szanownéj Julii Woykowskiéj pod tytułem: *»Książka dla dzieci obejmująca początki wszystkich potrzebnych dzieciom wiadomości, i dodatek złożony z wyjątków z literatury ojczystéj«* w krótce wyjść mającego, lecz byłoby do życzenia, aby dodatek z wyjątków z literatury ojczystéj złożony celowi wyżéj wytkniętemu godnie odpowiedział, a po talentach, zdrowym sądzie, gorli-

wości i sposobie myślenia sz. autorki »Małego Tadzia« spodziewać się można, iżby tę ważną dla narodu pracę umiejętnie, oględnie, sumiennie i z duchem Polski postępowéj zgodnie wykonała.*) —

DO HISTORYJI DAWNÉJ POLSKI.

LIST

Xięcia Józefa Poniatowskiego do wojska.

Zdawałoby by mi się uchybić wdzięczności i zaręczeniu które wam uczyniłem, szanowni i odważni koledzy moi, gdybym wam niedoniosł i niezdał sprawy z postępku mojego.

Otrzymałem najłaskawszą od N. Pana dymissją, służyć przestałem, lecz kochać, szanować was i waszą przyjaźnią chlubić się, nigdy nie przestanę.

Biliśmy się za rządną wolność i za sławę narodu, za szczęście wszystkich obywatelów. Była to wojna święta, bo żołnierz niewalczył za dumę swojego króla, lecz za swobody ojców i całość ziemi w któréj się urodził. — Okoliczności otruły nadzieje nasze, obca przemoc, duma kilku obywatelów, (którzy w osobach swoich przywykli uważać szczęście lub nieszczęście krajn) przyprowadziły rzeczy do dawnéj postaci. Zatym lubo niepodbici, lubo niezwyciężeni, błąkać się musiemy i szukać obcéj ziemi. Mundur nasz staje się odtąd smutnym odzieniem, bo nie jest więcéj znamieniem prawdziwego powołania, sławy i obrońcy ojczyzny. — Trudno żyć w społeczeństwie ludzi, z których jedni znajdują słodycz, czyniąc ofiarę pysze i ambicyji swojéj z krwi rodaków — drudzy wiecznéj niesławy zostali okryci cechą — a przewinienia których, czystość powołania żołnierza znosić nie może. — Te czucia moje śmiało i głośno zaręczam. — Prześladowania bowiem, wzgardę tylko na siebie ściągają: téj zaś zemsty która na szlachetnym i uczciwym zasadza się przekonaniu, niezmrużonym czekam okiem. — Przykład niepodległości i nieposłuszeństwa, który nam zostawili, nieskazi bynajmniéj dusz naszych — jest to trucizna w powołaniu naszym. — Jeźliśmy ramieniem naszym ojczyzny zbawić niemogli, bynajmniéj téj zbrodni potomność nam niewyrzuci. Ostatni raz już wam tę cnotę zalecam. — Przyjaźń którą mi przyrzekliście przypominam — rozbrat z niemi, a nieśmiertelny dla was szacunek i przywiązanie zaręczam. —

*) Było początkowo zamiarem autorki Tadzia, dołączyć do dziełka dla dzieci wspomnionego przez sz. współpracownika wypisy w myśl Kleinpaula i jego, — przekonała się jednak późniéj, iż wypisy takie przechodząc szczupły zakres dziełka tego, nie byłyby odpowiednemi zadaniu swemu; dla tego wydać je osobno w jednym tomie postanowiła.

Red. Tyg. lit.

KOPIA

listu tegoż do JW. Ożarowskiego, hetmana konfederacyji Targowickiéj.

Dostałem list pana Hiża półkownika, który mnie mocno zadziwił. Wiadomo WPanu żem w tenczas Polsce służył, kiedy nie przemoc Moskiewska, nie spisek kilku obywateli, przez nią wspierany, generałów nominował. — Broniłem swobód mojéj ojczyzny, broniłem praw tych, które ona sama sobie nadała, broniłem ich w tym przekonaniu, że to czynię co się poczciwemu Polakowi czynić należy; odmiana okoliczności przymusiła mnie, porzucić ziomków moich i to waleczne wojsko, którego z serca i pamięci méj nic wygładzić niepotrafi. — Pamiętać WPan musisz, żem szlachetnym uczuciem patrzał na dzieło narodu, dnia 3go Maja uskutecznione, wiesz WPan, że to dzieło orężem bronić i utrzymywać najświętszą dla mnie było powinnością, jakże się teraz spodziewać możesz, że zechcę wykonaniem przysięgi, zrównać się z temi zdrajcami którzy swobody i uszczęśliwienie narodu, pierwsi du, mnéj swéj pysze poświęcili. Sposób nawet którym mnie doszła ta rota przysięgi przez p. półkownika Hiża za ordynansem WPana przysłana, zastanawia mnie niepomału; od dzieciństwa mego słyszałem i widziałem, że gwardyje jedynie do króla należeły i od niego rozkazy odbierały, wyperswadować sobie niemogę, aby kilku odrodnych obywateli, Pacta Conventa zrywać mogli. Prawda że kto ojczyznę zdradzać, ten jéj prawa zdeptać potrafi. — Oświadczam WPanu, że od téj chwili, żadnego prawa mieć niechcę do urzędów wojskowych w Polsce. — W tym przekonaniu i uczuciu, które w sercu każdego poczciwego Polaka, roboty WPanów wzniecać powinny, mam honor pisać się z winnym jemu szacunkiem. (Podpisano)

Józef X. Poniatowski etc.

KORRESPONDENCYJA.

O

TOWARZYSTWIE WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI W KRAKOWIE.

„Co nadto, to nie zdrowo.“

Przysłowie narodowe.

Nie zbyt dawno sławne czytaliśmy baje o naszém mieście, w poważnym, choć nie bardzo u nas poważanym Orędowniku; czemuż i poczciwy Tygodnik literacki nie ma czasem zająć czytelników swoich jaką wiadomością o Krakowie, wszak to polskie miasto! a wszystko co polskie nie powinno nam być objętném.

Gdy w téj chwili wszędzie o wstrzemięźliwości i o towarzystwach rozprawiają, w tym celu zawięzujących się lub zawięzanych, a co większa same coraz głośniejszemi się stają: cóż dziwnego, że i nasze towarzystwo, przespawszy sobie pięć lat, od nikogo nie budzone, znowu się na jakiś czas ocknęło, a sekretarz jego całémi siłami pobudkę zatrąbił. — Ale zkądże się wzięło owe towarzystwo? kto je wywołał? są to pytania, na które przedewszystkiem odpowiedzieć należy.

Było to w zimie r. 1839, kiedy kilka panków i niedopanków, posiadających już to okazałe gorzelnie, już też szczupłe karczemki i szynki, po skromnym obiadku, na którym jednak, jak przyzwoitość wymaga, nie zbywało na węgrzynie i szampanie, w owéj błogiéj chwili rozczulenia i miłości braterskiéj, przypomnieli sobie, że za granicą już od lat kilku istnieją towarzystwa, odwodzące lud od pijaństwa. Wychodząc więc z téj zasady, że wszystko co się tylko w krajach obcych pojawi, godnem jest naśladowania, a zatem czemprędzéj u nas zaprowadzonem być powinno, -- iż nasze chłopki (wyraz ulubiony naszéj filantropicznéj szlachty) upijają się tylko wódką, i ta właśnie jest początkiem wszystkiego złego, zważywszy, iż Hindowie, Arabowie i wszelkich narodów Mahometanie, iż wreszcie prawowierni Włosi i Hiszpanie, a nadewszystko nasza kochana, przykładna szlachta, mając wino, obchodzi się bez gorzałki: uznali za rzecz jasną, że i nasz chłopek i w ogóle ci wszyscy, których nie stać na wino, kawę i t. p. napoje, pić jéj nie powinni. Nadto z tégo jeszcze powodu postanowiono wziąć pod swą opiekę tak zwaną *klassę niższą*, ponieważ ta wcale nie zna umiarkowania i owym płynnym zalewa się ogniem (co za piękne wyrażenienie!); *klassa wyższa* wie dobrze, kiedy ma przestać pić pączyk lub wino, zwłaszcza kiedy kielich w kolei obchodzi. Ułożono więc zaraz statut; postarano się o potwierdzenie go przez Senat rządzący, co też istotnie na d. 4. Marca 1839 r. nastąpiło; obrano dygnitarzy towarzystwa, jako to: Prezesa, Wiceprezesa, Sekretarza i Kassyera; wreszcie ogłoszono przez pismo publiczne, że zawiązało się u nas tow. wstrzemięźliwości.

Spodziewano się, iż mieszczaństwo tłumnie garnąć się będzie do przezacnego towarzystwa, mając sobie w niczém owe marne 50 złp. wkupnego, w porównaniu z zaszczytem stykania się kiedy niekiedy na posiedzeniach z Jaśnie Wielemożnemi! Ale cóż się dzieje? Mija miesiąc, mija drugi, a nikt się nie zgłasza! Nie chcąc więc dłużéj w tak szczupłém pozostać gronie, a nadto chcąc być dobroczynnemi z cudzéj kieszeni, — gdy mieszczuchy krakowskie, jak się z tego dowodnie pokazuje, wierutne i zapamiętałe pijaki — téj uprzejmości szlacheckiéj cenić nie umiały, zwierzchnicy towarzystwa w inną uderzyli stronę. Oto chcieli przynajmniéj przyciągnąć do siebie, a właściwie ściągać składki z licznych u nas urzędników. W tym celu skłonili naczelników wszystkich gałęzi służby publicznéj, do obesłania po swych podwładnych odezwy, zachęcającéj do przystąpienia do towarzystwa wstrzemięźliwości. Ale o zgrozo! i ci, którym przecież jakiego takiego światła i znajomości rzeczy odmawiać się nie godziło, pozostali głuchemi i ślepemi! Prosty ztąd wniosek, że i urzędnicy w Krakowie są to same pijanice. — I w rzeczy saméj, owa przezacna drużyna, nie chcąc innego do tego wstrętu widzieć powodu, i urzędników, pospołu z obywatelami, ogłosiła zwolennikami Bachusa, i w rozpaczy swojéj, za tak niespodzianą obojętność, na całe miasto, a nawet na cały nasz kraj klątwę rzuciła. — Wszakże dla miłości prawdy przytoczyć muszę, iż w ciągu roku z pomiędzy 150,000 ludności naszéj pospolitéj rzeczy przecież ośmiu się znalazło, którzy oświadczyli swoją chęć wstąpienia do rzeczonego towarzystwa i łaskawie przyjęci zostali.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

List do redakcyj Tygodnika.

Szanowna Redakcyo!

Wydane przezemnie pisemko *Sposób ułatwiający naukę Chronologij* zchłostane zostało nielitościwie, po kozacku, w Orędowniku naukowém przez jakiegoś pana Z. — W téj niby-krytyce znalazłem nie rozebranie i ocenienie przedmiotu ze stanowiska naukowego, lecz kilka wykrzykników, i kilka złośliwych uwag, z przytoczeniem zupełnie niestósownem czterech wierszów z poezyj S. Klonowicza.

Wysłałem natychmiast odpowiedź do Redakcyj Orędownika z proźbą o umieszczenie jéj w piśmie owém. Po kilkomiesięcznem wszakże próżném oczekiwaniu pojawienia się jéj w kolumnach Orędownika, nieumiem sądzić, jak tylko, że p. Z., jeżeli sam niestanowi cząstki redakcyj — czego się jednak wacham dopuścić; gdyż o téj znowu lepiéj trzymam — musi przynajmniéj być wygodném jéj narzędziem, krytykującem walecznie wszystko co pan każe, bądź to rozprawę o fabrykacij octu, bądź wierszów, bądź nowego systemu filozoficznego, astronomicznego czy ekonomicznego. — Otóż temu nieustraszonemu p. krytykowi

chciałbym z pokorą wytknąć choć z parę błędów, tyczących się krytyki wspomnianego dziełka mego. — Proszę zatem Szanownéj Redakcyj o przyjęcie odpowiedzi méj do Tygodnika.

Z niedorzeczności, któremi p. Z. krytykę ową o historycznéj méj drobnostce przepełnił, niechcąc sądzić gorzéj, zmuszony jestem do wniosku, że go niebo sowiciéj żółcią uposażyło, jak pierwszą krytyka zaletą, nawet warunkiem: cierpliwością; bo widzę z wszystkiego co zawyrokował o pisemku mojem, że go nawet nie raczył przeczytać w całości. — Sądzić bez słuchania! — to niegodne człowieka dzisiejszego, a cóż dopiero człowieka, który się robi organem między autorem a publicznością, i w którym by ta, niemogąc sama doświadczać wszystkiego, chciała ufność pokładać. —

A przecież łatwo dowieść, że p. Z. potępił pisemko moje bez przeczytania go. Inaczéj jak pojąć obwinianie mię, jakobym naśladował epigramata S. F. Klonowicza, przytaczanie tychże i ocenianie moich obok jego wierszów, kiedy czterowiersze tego autora nic bynajmniéj z Chronologią, nic zatem z pracą moją niemają wspólnego. Co u Klonowicza celem, u mnie to tylko środkiem było. Pan Z. zrobił z tego moskiewską potrawę, — pomieszał jedno z drugiem. —

Klonowicza zadaniem było, umieścić w czterech rymowanych wierszach kilka z ważniejszych wydarzeń z pod panowania pewnego króla, i nic więcéj. Ja w prawdzie podobne miałem zadanie, z utrudnieniem jednak, by to w dwóch wierszach uskutecznić. Ale — mając nadto *przypomnienie liczby* na oku, o czem się szanownemu Klonowiczowi ani śniło — musiałem jeszcze jednę, i to największą przezwyciężać trudność: wyszukanie słów, składających się z *przeznaczonych* spółgłosek, a mających styczność z opisanym czynem. Temu więc wyższemu celowi poświęcać musiałem wszystkie krasomowstwa prawidła, wystrzegając się jedynie naruszenia prawdy historycznéj. Bogu zatem duszę swą p. Z. był winien, kiedy mu przyszło na myśl, brać wbrew oświadczeniu memu wiersze me za poezję, i porównywać je z wierszami Klonowicza.

Piotr Jan Białecki (nie S. F. Klonowicz, jak p Z. mylnie twierdzi, i nie w przytoczonych w krytyce epigramatach, tylko w swych *Monastica in vitas regum Polonorum)* przedsięwziął był wprawdzie podobną jak ja pracę, lecz użył do tego sposobu nader niewdzięcznego, już przez starych Rzymian przy napisach na bramach i t. p. używanego, i który w języku li łacińskim zastósowany być może.

Panowanie n. p. króla Ludwika r. 1370 tak Białecki przypomina:

Is LVtVIC obIIt, respVbLICa Maesta Laborat.

Więc i z tego autora niemógłem powziąść myśli do méj pracy. — Ale na co tu mozolnego szperania po odwiecznych pisarzach, przytaczania niestósownych wierszów nieboszczyka, i niezgrabnego wyprowadzania pseudo-wzorów, które ja jakoby naśladować miałem, kiedy ja sam we wstępie do mego pisemka wymieniłem, o ile mi było wiadome, źródło téj metody.

Jak p. Z. na tak płytką, i bezzasadną krytykę mógł się zdobyć, nie chcę o tém wnioskować, bo sąd mój tak arbitralnie mógłby wypaść, jak sama owa krytyka, — czułbym się poniżonym.

Po tém oświadczeniu nie potrzebuję zbijać gorączkowych wykrzykników pana Z, ani przyznając, że jednę gołą liczbę łatwiéj spamiętać, jak słowo lub sens — nawracać go gwałtem na wiarę, iż inaczéj się rzecz ma, gdzie chodzi o spamiętanie wielkiéj ilości liczb, ani wreszcie tłumaczyć się, znając słabe swe siły i trudność przedmiotu z zarzutu o niezgrabne wierszów ułożenie, i brak weny poetyckiéj (o tem mówiłem w przedmowie); lecz życzę szczérze, — gdy go już nielitościwi Bogowie skazali na krytykowanie wszystkich gałęzi literatury — dokładniéj wprzód zgłębiać przedmiot, o którym dyktatoryczny wyrok wydać zamierza.

Dodać jeszcze panu Z. muszę, że doświadczenie zupełnie niezgadza się z potępiającą jego teorią, gdyż z wielu już przykładów przekonałem się, że dzieci 10—12letnie, od których trudnoby tyle wymagać cierpliwości, by przy nauce historij tak oschłą rzeczą, jaką są daty, głowy swe obciążać miały, z pomocą ogłoszonéj przezemnie metody bawiącym sposobem trudność tę przezwyciężają, recytując aż do jednostek datę każdego szczegółu z historij ojczystéj.

Na zarzut: *to niepotrzebne;* odpowiem: *ale ładne.*

Kończąc polecam łaskawym względom pana Z., jako wszechstronnego, może zatem i wszechjęzycznego krytyka, podobne do okrytykowanéj, me prace, służące do ułatwienia nauki Chronologij królów francuskich i niemieckich, wydane we właściwych sobie językach.

Drezdno, 13. Czerwca 1844. F. J. Z. S.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*